№ 55. Warszawa, dnia 27 Czerwca / 9 Lipca 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

INSTYTUT GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH W WARSZAWIE.

Piorunem klątwy Pańskiéj dotknięci widomie,
Sobie samym nieznani i światu tajemni—
Bez wiedzy o nieszczęścia swojego ogromie,
Żywi—a sercem martwi, widzący—a ciemni
Szli za lud pokutnicy....

W tych słowach złożył młody poeta Władysław Ordon wymowny obraz okropnego kalectwa, któremu tak liczne wśród ludzkości podlegają ofiary.

Wiersz, którego początek przytoczyliśmy na czele obecnego sprawozdania, poświęconym był pamięci księdza Jakóba Falkowskiego założyciela Instytutu Głuchoniemych w naszymkraju. Za sprawą tego czcigodnego kapłana, mówi daléj poeta:

„Dziś biedny głuchoniemy na twym cichym grobie
Zmówi „Zdrowaś Marya" słowami polskiemi.

Pozbawieni możności odczuwania wrażeń zewnętrznych, bez jakiéjbądź duchowéj komunikacyi ze światem, z umysłem zamkniętym w ciemnicach wiecznego więzienia, — głuchoniemi znajdowali się po za obrębem wszelkiego uspołecznienia, w stanie półzwierzęcym. Świat ludzki, wielkie ognisko uczuć, przekonań i spraw wspólnych, był dla nich czémś niezrozumiałém, zagadkowém i tajemniczém, podobnie jak zgłoski abecadła dla dzikiego mieszkańca Australii. W życiu rodzinném i społeczném bezużyteczne ogniwa, chodzące anomalie, stawali się ciężarem i zawadą dla drugich,—a nie mogąc znaleźć węzła połączenia z ludzkością, w głuchéj bezsilności krzewili w sobie tylko nienawiść dla wszystkiego, co ich otaczało.

Wyjątkowość położenia ludzi, kalectwem tém dotkniętych, uwzględniona już była przez prawodawstwa, zanim społeczność pomyślała o środkach złagodzenia ich smutnéj doli. Prawo pisane uznało głuchoniemych za pozbawionych świadomości o dobrém i złém, i uświęciło niepoczytalność winy w zbrodniach przez nich popełnianych. Nakazano czuwać nad niemi, pielęgnować i ochraniać. Jeżeli naruszyli porządek społeczny, repressya prawna dotknąć ich nie mogła.

Jednocześnie drugie wyższe prawo, w głębi serc ludzkich zapisane, a znaczące historyę czynami bohaterstwa i poświęcenia,—prawo wszechmiłości, nie mogło pozostać obojętném na cierpienia i nędze tych „piorunem klątwy Pańskiéj dotkniętych." Już w XVI wieku pojawiły się pojedyncze usiłowania kształcenia umysłowego i moralnego głuchoniemych. Próby te uwieńczane większym lub mniejszym skutkiem, stósownie do energii i wytrwałości tych, co je przedsiebrali, długo jednak nie mogły się rozpowszechnić przy niesprzyjających temu warunkach ogólnéj kultury. Dopiero w końcu XVIII stulecia, ks. francuzki L'Epée, pierwszy nadał kształceniu głuchoniemych znaczenie systematu, który też prędko we wszystkich krajach Europy stósować rozpoczęto.

Odtąd ożywcze światło nauki zaczęło przebijać grubą skorupę ciemnoty, nienawiści, wzgardy i osamotnienia, która otaczała dusze nieszczęśliwych głuchoniemych. Można powiedzieć, że jeśli natura była dla nich macochą, nauka spełnia święte posłannictwo matki. Natura odmówiła im wszystkiego, co stanowi dziedzinę godności i wyższości człowieczéj,—nauka wróciła im spokój wewnętrzny, świadomość celów, praw i obowiązków, przywiązanie rodzinne, uczucie religijne. Nigdy i nigdzie wielka doniosłość nauki nie ujawniła się w sposób tyle dobitny i stanowczy. Całe jéj działanie było tutaj twórcze. Z materyału surowego, niewdzięcznego i opornego, umiała zrobić kształty wdzięczne, szlachetne i pożyteczne. Na gruncie ślepéj i bezmyślnéj zwierzęcości, potrafiła zaszczepić człowieczeństwo. Zwycięztwo myśli nad materyą, cechujące ogólny rozwój dziejowy, mogło być wiele razy płodniejszém w znaczące dla ludzkości następstwa, nigdy jednak nie okazało się tyle stanowczém i tyle godném podziwu.

Bo w historyi tego tryumfu nie sama myśl tylko zapisała swe ślady,—znaleźć tam można więcéj jeszcze uczuć gorących, serc natchnionych, łez szczeréj litości, walk i trudów prawdziwego poświęcenia.

Trudno sobie doprawdy wyobrazić tę nadzwyczajną pracę, która doprowadziła do dzisiejszych zdobyczy i tę drugą, która przy ich stósowaniu z dniem każdym, bez chwili spoczynku, tysiące przeszkód przezwycięża. Artykuł nasz będzie zaledwie skromnym tych działań obrazem. W każdym razie sądziliśmy, że tak poważna i wzniosła działalność, zasługuje na bliższy rozbiór.

Instytut Głuchoniemych w Warszawie powstał w 1817 roku, dzięki staraniom i inicyatywie ks. Jakóba Falkowskiego, rektora szkoły szczuczyńskiéj. Światły i zacny ten kapłan przyjął na wychowanie młodego głuchoniemego, którego postanowił kształcić. Rezultaty, do których doszedł w ciągu lat kilku, bez żadnych wskazówek naukowych, z własnego li natchnienia, zwróciły uwagę ówczesnych egzaminatorów szkolnych. Komissya Wyznań i Oświecenia Publicznego, na czele któréj stał wtedy Stanisław Potocki, udzieliła ks. Falkowskiemu funduszu na podróż za granicę, celem zapoznania się z metodą wykładów przyjętą w istniejących już tam zakładach dla głuchoniemych. Po powrocie, ks. Falkowski złożył egzamin przed wyznaczonym ad hoc komite-

tem i uzyskał nominacyę na rektora przyszłego instytutu.

Początkowo taki zakład w miniaturze urządzony został przez czcigodnego kapłana przy gimnazyum szczuczyńskiém. Ale po roku ks. Falkowski wyrobił w sobie przekonanie, że nauka głuchoniemych wymaga wyłącznego oddania się jéj tylko—i dla tego zażądał uwolnienia od obowiązków w gimnazyum i prosił o przeniesienie instytutu do Warszawy. Prośbie téj kommissya uczyniła zadość. W dniu 23 Października otwarto urzędownie zakład, z uposażeniem rządowém 12,000 złp. rocznie, z tego funduszu według etatu obracano na najęcie lokalu 1,000 złp., na czterech stypendystów instytutu także 1,000 złp., na płacę rektora i nauczycieli 8,500 złp.,—reszta szła na usługę, opał, druki, bibliotekę, materyały, narzędzia i t. p.

Początkowo nowa instytucya niewielkie znajdowała w publiczności poparcie. W pierwszym roku miał ks. Falkowski tylko czterech wychowańców, w téj liczbie dwóch dawniejszych, których woził z sobą za granicę.

Program nauk ówczesny rozdzielał się na następne zajęcia:

1. Tworzenie w umysłach głuchoniemej młodzieży wyobrażeń, od których dokładnego powzięcia, dalsze rozwijanie się władz umysłowych zależy.
2. Wynajdywanie migowych znaków, za pomocą których będą mogli głuchoniemi rozumieć się między sobą i być rozumianymi od innych.
3. Nauka właściwego im czytania.
4. Nauka mowy ustnéj narodowéj (z tymi uczniami których organa ustne nie są nadwerężone).
5 Pisanie.
6. Początki rachunków.
7. Wpajanie zasad religii i moralności, stosownie do postępu w tworzeniu się wyobrażeń.

Kurs był trzechletni. Z rzemiosł uczono tylko tokarstwa. Pod bezpośrednimi następcami ks. Falkowskiego instytut zyskiwał coraz więcéj zasobów naukowych i materyalnych. Przybywało uczniów, nauczycieli i przedmiotów wykładu. Jednakże od czasu oddania Zakładu pod zarząd Rady Głównéj Opiekuńczéj Zakładów Dobroczynnych (około 1832 r.), pedagogiczny rozwój instytucyi doznał stagnacyi. Więcéj zwracano uwagę na stronę ekonomiczną, aniżeli wychowawczo-naukową. Zakład pozostawiony kierownictwu ludzi dobrych chęci, ale nie specyalistów, przybierał z wolna charakter przytułku dla nieszczęśliwych kalek, słabe pod względem naukowym dając znaki życia. Zresztą formalizm biurowy panujący powszechnie w naszych instytucyach filantropijnych, odjęcie wszelkiéj samoistności pojedynczym zarządcom, decydowanie kollegialne najdrobniejszego szczegółu,—sprawiły, że w ciągu całego tego okresu, t. j. aż do powierzenia Zarządu R. R. S. Papłońskiemu, żadnych znacznych w instytucie nie przedsięwzięto reform. Jedynie w 1842 roku urządzono przeważnie ze składek prywatnych oddział dla ociemniałych, który dziś z oddziałem głuchoniemych nierozłączną stanowi całość.

Epoka pomyślności i postępu dla instytucyi, zakwitła, jak to już wspomnieliśmy, z chwilą powołania na urząd Dyrektora, znanego pedagoga J. Papłońskiego. Pod jego kierownictwem instytut zarządzany przez dwie rady złożone z nauczycieli, jedną pedagogiczną, drugą administracyjno-gospodarczą, zaczął rozszerzać z każdym rokiem zakres swéj działalności, korzystając zarówno z rezultatów osiąganych za granicą, i ze spostrzeżeń na miejscu czynionych.

Brak nam czasu na dokładny rozbiór metod używanych przy nauczaniu i systematyczne zbadanie stanowiska naszego zakładu, w obec innych tego rodzaju instytucyj w Europie. Musimy się ograniczyć na ogólnéj charakterystyce Zwiedzaliśmy instytut głuchoniemych pod przewodnictwem professora Michalskiego, z którego uwag i wskazówek pozwalamy sobie w niniejszém sprawozdaniu korzystać.

Przedewszystkiém każdego przybysza (a zakład wolno zwiedzać wszystkim) uderzyć mus ład i czystość panujące wszędzie. W żadnéj może instytucyi publicznéj nie zachowano z taką ścisłością przepisów hygienicznych. Sale duże o białych jak mleko ścianach,—korytarze szerokie, okna znacznéj wysokości, powietrze zdrowe, dziedziniec obszerny, po za którym zieleni się ogród dla przechadzki i ćwiczeń gimnastycznych. Niepodobna również nie zwrócić uwagi na ubranie uczniów i uczennic, z dobrego materyału, wygodne i czysto utrzymane.

Drugą cechą charakterystyczną instytutu jest uroczysta powaga, którą każdy zwiedzający zaledwie przestąpiwszy próg, czuje się przejętym. Poznasz od razu, że to przybytek nieszczęścia i miłości ewangelicznéj. Pełne uszanowania rozrzewnienie owładnęło nami, kiedyśmy ujrzeli łagodne, pogodnie uśmiechnięte twarze niewiast, które zamknąwszy się dobrowolnie z temi nie szczęśliwemi dziećmi, codziennie od świtu do zmroku, myśli ich do Boga a dłonie do pracy prowadzą. Dantejskie „lasciate ogni speranza” które ryło się w naszéj wyobraźni przed wstąpieniem do tego gmachu, zmieniło się w pieśń pełną słodkiéj nadziei.

Głuchoniemi i ociemniali pracują w ciszy i skupieniu ducha, z zamiłowaniem, jakiego nie zdarzyło się nam dostrzegać u dzieci w pełni zmysłów. Nic z zewnątrz nie zdaje się na nich działać, jedynie rozkaz nauczyciela, jak magiczne zaklęcie przenosi ich z miejsca na miejsce.

W warsztacie tokarskim, prof. Michalski objaśnił pracującym cel naszego przybycia. Na twarzach głuchoniemych objawiło się szczere zadowolenie i wszyscy zaczęli pokazywać swoje wyroby.

Poznawanie mowy z poruszeń ust, jest istotnie rzeczą zadziwiającą. Nim nauczyciel zdoła wymówić wyraz, już głuchoniemy go powtarza swym gardłowym, urywanym głosem. Zapewniano nas, że po dwutygodniowém obcowaniu, wychowaniec instytutu potrafi odczytywać wyrazy na ustach każdego.

Z pojęć oderwanych do których wznosić się może umysł głuchoniemych, najsilniejsze jest poczucie sprawiedliwości i prawdy. Każda krzywda oburza nieszczęśliwego tém silniéj, że czuje, jak trudno mu się przed nią obronić. Ociemniali, których działanie w życiu praktycznem w mniejszym daleko odbywać się może zakresie, wkraczają natomiast umysłem w wyższe dziedziny idealnego piękna. Szczególniéj rozwinięte bywa w nich estetyczne poczucie harmonii dźwięków—i dla tego w muzyce niektórzy z nich są prawdziwymi artystami.

Warsztaty zakładu, w których pracują głuchoniemi, mieszczą się w oddzielnych salach, podług rzemiosł,—jak dotąd zaprowadzono w instytucie: szewctwo męzkie i damskie, krawiectwo, tokarstwo, ślusarstwo, introligatorstwo, stolarstwo, drukarstwo i drzeworytnictwo. Ze sztuk pięknych: rysunek, snycerstwo i rzeźba. Projektowana jest nadto nauka ogrodnictwa i pszczelnictwa, które dotąd jedynie dla braku miejsca nie zostały zastosowane.

Ociemniali wyrabiają szczotki, koszyki, słomianki i trudnią się powroźnictwem. Dziewczęta bardzo starannie wykonywają roboty włóczkowe na drutach. W ogóle wyroby ociemniałych zalecają się niesłychanie drobiazgową dokładnością wykończenia i trwałością. Pomimo ednak tych zalet nie mogą zapewnić pracownikom utrzymania,—z powodu zużywania na wyrób zbyt długiego czasu.

Głuchoniemi bywają doskonałymi robotnikami ale robotnikami tylko. W pracach swoich nie są w stanie wyjść po za obręb ślepego naśladownictwa. To co raz widzieli i poznali, powtarzają potém najdokładniéj,—ale na pomysły samodzielne zdobyć się nie mogą. Dla tego rzemiosło zecerów zdaje się najlepiéj odpowiadać naturze ich zdolności.

Nauczanie właściwe rozdziela się u głuchoniemych na 6 klass, u ociemniałych na 3. Metodę w ogóle przyjęto *okazową*, polegającą na przedstawianiu dziecku, bądź w naturze, bądź w modelu lub rysunku, przedmiotu wykładu. Dziwić się należy, dla czego ta metoda tak prosta, tak skuteczna, a wymagająca jedynie wielkiéj wytrwałości i cierpliwości nauczyciela, nie została dotąd zastosowana w nauczaniu elementarném dzieci pełno-zmysłowych. Metodę tę jako wielce interesującą pod względem pedagogicznym, postaramy się wkrótce przedstawić naszym czytelnikom w dokładnym historyczno-porównawczym obrazie.

Trudności nauczania głuchoniemych są niesłychane. To, co w zwyczajnéj szkole wykłada się w przeciągu kilku miesięcy, tutaj rozkłada się na lata całe. W pierwszéj np. klassie, przez rok cały uczą się wychowańcy wymawiania głosek, syllab i wyrazów, nabywają pierwszych zasad religii i arytmetyki. W czwartéj dopiero klassie przychodzą do nauki łączenia wyrazów w zdania za pośrednictwem spójników, co dla nich stanowi trudność nadzwyczajną. Program całkowitéj dla nich nauki składa się z religii, arytmetyki, geometryi, języka polskiego, historyi, geografii, treściwych wiadomości z nauk przyrodzonych, wreszcie z nauki o stosunkach społecznych i polityki wewnętrznéj.

Będąc obecni na akcie uroczystym zamknięcia roku szkolnego, podziwialiśmy odpowiedzi guchoniemych na różne pytania, a nadewszystko uderzał nas wybitny rozwój pojęć i wyobrażeń uwydatniający się w każdéj coraz wyższéj klassie. Żałujemy tylko, że w nauce religii spotykaliśmy się ze stereotypowym frazesem księdza Putiatyckiego: „Szczęście człowieka zależy na tém, aby Pana Boga i t. d.” Dla tych nieszczęśliwych upośledzonych fizycznie i umysłowo kalek—właściwe, byłoby prostsze [illegible]niéj sformułowane wyznanie wiary.

W oddziale ociemniałych program nauk jest nieco szerszy. Muzyka solowa i orkiestrowa wielką w nim odgrywa rolę.

Większa część dzisiejszych ulepszeń, wprowadzenie nowych rzemiosł, zastosowanie ułatwiających metod, mnożenie środków objaśniających naukę (jak np. urządzenie w tym roku miniaturowego ogródka botanicznego), wreszcie ujęcie całego wychowania w ściśle karby pedagogicznego systematu — stanowi zasługę dzisiejszego dyrektora instytutu, R. R. S. Papłońskiego. Możemy śmiało powiedzieć, że dziś już instytut głuchoniemych i ociemniałych jest instytucyą wzorową. U nas, w obec ogólnego chwiania się i wypaczania najlepszych pomysłów w praktycznem zastosowaniu, instytucya taka nabiera podwójnego znaczenia. Wskazuje ona ludziom trzeźwo na świat patrzącym, że przy dobréj woli i umiejęt-

ności najcięższe nawet przeszkody dadzą się przezwyciężyć. Instytut krocząc drogami ciągłego postępu, wspartego zarówno na tradycyi jak na rozważném rachowaniu się z okolicznościami i potrzebami, które się wciąż wytwarzają, składa jasne dowody, do czego dojść można z rzeczywistą miłością dobra społecznego i świadomością jego celów. Ogólna ilość wychowańców instytutu w ubiegłym roku wynosiła 198 dzieci płci obojéj. *K. Ł.*

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 54).

Znikł więc ostatni cień w jéj duszy—znikła niespokojność, owa nieokreślona obawa przyszłości, któréj aż do chwili oświadczyn Szwarca nie mogła się opędzić, a która dręczyła ją jak wyrzut sumienia.

Marzyła. Z pieśnią na ustach czyniła przygotowania do ślubu, ciesząc się jak dziecko każdym szczegółem ubioru. Chciała mieć mimo swego wdowieństwa białą suknię, co i Szwarcowi podobało się. Odzyskując humor, odzyskiwała i zdrowie; stawała się czynną, zabiegłą, drobiazgowo nawet troskliwą o przyszłe gospodarstwo.

Wypiękniała jeszcze i wyszlachetniała jakoś pod wpływem szczęścia. Z kobiety odludka, z ptaka o poobrywanych skrzydłach, jęła się zmieniać w kobietę czującą własną wartość, choćby w tém, że ją ktoś kocha.

Termin ślubu przybliżał się.

Tymczasem zbliżała się chwila, w któréj Szwarc miał zostać doktorem. Pracował więc, a pracował tak usilnie, że zachwiał cokolwiek własne zdrowie. Bezsenne noce i wysilenia umysłu naznaczyły mu twarz bladością; wychudł, oczy miał podsiniałe; żył w ciągłéj owéj gorączce pracy, w rzeczywistości opadał z sił, ale trzymał się jak mógł na nogach, chcąc za jakąbądź cenę zdobyć koniecznie stanowisko i niezależną przyszłość.

Prócz ambicyi i blizkiego terminu ślubu, jeszcze jedna rzecz skłaniała go do tych wysileń. Zapasy, jakie przywiózł z domu, wyczerpywały się z wolna i obecnie blizkie były końca. Teraz już na Augustynowiczu spoczywał ciężar wydatków i domowego gospodarstwa. Augustynowicz wyrzekł się pijatyki, a zarabiał znacznie więcéj niż Szwarc. Lekcye muzyki przynosiły mu stosunkowo bardzo wiele, a nie potrzebował się ich wyrzekać dla nawału innéj pracy, wrodzone bowiem zdolności zastępowały mu aż nadto czas i ochotę.

Do pani Wizbergowéj chodził jak dawniéj codziennie; codziennie Malinka wybiegała mu otwierać, i codzień niby wydzierała mu swe rączki, które miał zwyczaj obfitemi okrywać całusami. Poczciwa dziewczyna przywiązała się do niego. Czy on ją kochał? Prędzéj nie, niż tak, bo przeszłość wygasiła w nim sympatyczne moce. W rzeczywistości nie miał za grosz ognia. Gdyby jego zdolności zagrzewała namiętność, zaprowadziłyby go daleko — ale światło ich było jak księżycowe, świeciło nie grzejąc.

Nie przeszkadzało mu to być, jak to mówią, wybornym chłopcem, doskonałym kolegą i wesołym towarzyszem. Jeżeli czuł jakie przywiązanie, to chyba do Szwarca. Miewał jednak swe sympatye i antypatye: lubił Malinkę, a nie lubił Luli.

I za co jéj nie lubił? Różne były powody. Traktowała go zawsze z chłodną wyższością, a przytém była hrabianką. I jedno i drugie obrażało Augustynowicza. Zwykle zresztą miewał powodzenie u kobiet — zawdzięczał je niewyczerpanéj wesołości a nawet cynizmowi, który pozwalał mu być wszędzie jak u siebie, miał przytém szczególniejszą zdolność stosowania się do towarzystwa, w którém przebywał. Nigdy nie ogładzany, posiadał (gdy chciał) wysoką ogładę towarzyską. Sam zwykł był mawiać, że owa łatwość dystynkcyi jest w nim dziedziczną, że to idzie „z zacnéj krwi". Rodziców wprawdzie nie znał nigdy, ani wiedział kto oni, nie mniéj sądził się być potomkiem znakomitego rodu. Przypuszczał nawet, wedle znanego żartu, że Letycya babka Napoleona III i jego babka—to były dwie babki. W ten sposób udowadniał swe pokrewieństwo z Bonapartymi.

Mimo tych wszystkich przymiotów, Lula ignorowała go cokolwiek. Więcéj niż owa lekkomyślna, elastyczna natura, budził w niéj interesu żelazny, jednolity charakter Szwarca. Zresztą kochała Szwarca, Augustynowicz więc z natury rzeczy pozostał na boku. Drażniło go to jednak. Tak się rzeczy miały aż do chwili zjawienia się Pełskiego. Odtąd, zwłaszcza gdy Szwarc przestał bywać, zmieniła się Lula nadzwyczajnie. Augustynowicz dokuczał jéj, sądził bowiem rzeczy przez pryzmat własnéj dla niéj niechęci. Myślał, że jeśli kiedy, to teraz będzie mu okazywała lekceważenie a nawet pogardę—tymczasem stało się inaczéj. Lula wyszła z roli obojętności i zaczęła się go obawiać. „Dzięki bogom," myślał wówczas Augustynowicz—„człek ma język dosyć obrotny. Boi się, żebym Pełskiego nie wystrychnął na dudka". Jakoż coś podobnego zdarzyło się kilkakrotnie, co należy wyznać nader przykro dotknęło Lulę. Nieraz z początku rozpytywała o Szwarca, ale zawsze jednakową odbierając odpowiedź: „pracuje"—przestała nakoniec. Niemniéj zdawało się, że chce przejednać Augustynowicza; w postępowaniu jéj z nim była teraz jakaś miękkość połączona z cichym smutkiem. Nieraz śledziła go niespokojnie oczyma gdy wchodził, jakby czekając odeń jakiejś wiadomości dla siebie. Niepokój ten był naturalnym. Czy kochała Szwarca, czy nie, nie mogło jéj nie dziwić, że ten, na którego tyle liczyła, który tyle sympatyi okazywał jéj zawsze—teraz jakby zapomniał o niéj. Nie mogła także poprzestać na odpowiedzi Augustynowicza. Mimo największéj pracy, niepodobna było, by Szwarc nie znalazł w ciągu dwóch przeszło miesięcy ani minuty czasu, by ją choć zobaczyć, by spytać o jéj zdrowie—tém bardziéj, że wiedziała, iż ją kochał. W myśli jéj dziwnie plątało się przybycie Pełskiego i niebywanie Szwarca; mogła słusznie przypuszczać, że jest w tém pewny związek. Jeden Augustynowicz mógł te rzeczy objaśnić, ale Augustynowicz nie chciał.

Niespokojna tedy, rozdrażniona i stroskana, ciągniona przez Pełskiego w krainy świetnych marzeń o wspaniałéj przyszłości, o bogactwie, komforcie, sługach i cugach — z drugiéj biegła myślą do ubogiego pokoiku Szwarca, pytając pełna trwogi: czemu go nie ma?

A jego nie było. Pełski coraz wyraźniéj występował jako konkurent. Lula posądzająca Szwarca o obojętność, rozdrażniona i upokorzona przezeń, gotowa była bodaj przez zemstę oddać rękę Pełskiemu. Zresztą tradycya ciągnęła ją w jego stronę—kto mógł, kto miał zwyciężyć łatwo było przewidzieć.

Pełski ó ile mógł starał się rozpraszać chmurki na czole Luli, i często kroć udawało mu się to nawet. Lula miewała od czasu do czasu dziwne napady wesołości. Śmiała się wówczas i sypała tysiącami mniéj więcéj dowcipnych słówek, a lubo w téj wesołości była pewna gorączka, było zaiste i niemało kokieteryi. Oczy jéj płonęły w takich razach, od skroni szła atmosfera gorąca, usta igrały wabnym uśmiechem. Słowa kaleczyły i głaskały, ciągnęły i odpychały na przemian. Pełski zwykle, a po kilku niefortunnych próbach z Augustynowiczem, Pełski jedynie padał ofiarą takich wybryków. Tracił wówczas głowę, a z roli kuzyna opiekuna, przechodził na kuzyna niewolnika.

A im był pokorniejszy, tém ona była zuchwalszą; im był smutniejszy, tém bywała weselszą.

— Panno Malinko! szeptał w takich razach Augustynowicz: nie bądź pani nigdy do niéj podobną—to kokieta!

— Nie! odpowiadała smutno Malinka. Przypomnę panu te słowa.

I trudno zaiste rzec, coby powiedział Augustynowicz, gdyby po takim wieczorze widział jak ta przed chwilą kokietka, zostawszy sama w swoim pokoju, łkała tak, że długie, długie godziny utulić jéj nie mogły.

Biedna dziewczyna, nie mogła nawet przed nikim wyspowiadać się ze swoich zmartwień i ciężkiéj walki, jaką toczyła sama z sobą.

Płakała w chwilach słabości. Ile w tych łzach było zranionéj miłości własnéj, ile szczerego żalu po Szwarcu, trudno było powiedzieć. Dawniéj byłaby objąwszy rękoma szyję dobréj Malinki, wyznała wszystko co jéj przygniatało duszę, ale dziś i Malinka była dla niéj obcą, a przynajmniéj nie tyle blizką co ongi. Właśnie owe niefortunne próby kokieteryi z Augustynowiczem głęboko obrażały rozkochaną w nim dziewczynę, a przytém i stosunek Luli do Pełskiego wydawał się jéj dziwacznym.

Tymczasem czas płynął, Lula zaczynała wątpić czy Szwarc kochał ją kiedykolwiek—Pełski nieznacznie karmił ją myślą przyszłego komfortu,—czas płynął, — a czas, to wedle słów poety: „róż kwitnących przemierzły ogrodnik."

XVII.

Malinka nieraz próbowała dowiedzieć się od Augustynowicza o istotnych powodach nieobecności Szwarca.

— Po co jéj wiązać ręce? mówiła o Luli.

Augustynowicz zaręczał, że jéj rąk nie chce wiązać, w rezultacie jednak milczał lub kłamał.

Z drugiéj strony Szwarc był przekonany, że Lula już wie o wszystkiém.

— Powiedziałem jéj wszystko! mówił Augustynowicz.

— A ona?—nie ukrywaj mi!

— Szwarc?

— Co?

— Co ci do tego?

Szwarc zacisnął zęby, ale nie pytał więcéj. Wstydził się. Sam przed sobą wyznawał, że owe pytania były folgą dawaną słabości i dawnemu uczuciu.

Z przerażeniem prawie spostrzegał, że czas nie przynosił mu ulgi. Och! miewał takie chwile, że chciałby rzucić i Helenę, i obowiązki, i sumienie, a pójść i sprzedać nawet honor, nawet resztki



Miłośniczka kwiatów.

szacunku dla siebie, za jedną chwilę, w któréjby mógł głowę oprzeć na ramieniu hrabianki.

Nie umiał się oprzeć rozpamiętywaniu o niéj.

Dotychczas zwyciężał, a jednak pamiętał, że bywał dawniéj innym niż dziś.

Dawniéj charakter jego miał ową spokojną, pokrywającą wszystko głębokość,—dziś kipiał. Od namiętnych wybuchów przechodził nieraz do melancholii i biernego sentymentalizmu, a pamiętał jak ongi wydrwiwał go w innych, jak szydził bez miłosierdzia, jak nawet pogardzał sentymentalizmem.

Wpadał weń jednak. Tracił szacunek dla siebie, ale bywał chwilami sentymentalny.

Augustynowicz wiedział o tém najlepiéj.

(d. c. n.)

---

wozdań z posiedzeń, 8 tomów rozmaitych rozpraw, ogółem wydano 52 tomy in quarto, 232 w oktawie, które zawierały 3,747 tablic i wiele rycin kolorowanych. Za podstawę do ocenienia wartości tych wydawnictw, może poniekąd służyć rezultat pokupu, jaki był na nie. Otóż, chociaż Akademia rozsyła za darmo 590 egzemplarzy swoich wydawnictw, to przecież czysty dochód ze sprzedaży, po strąceniu 40% na rabat księgarski, przyniósł jéj piękną summę 107,557 guldenów. Akademia poświęca także znaczną część swoich dochodów na nagrody za rozwiązanie pytań przez siebie wyznaczonych. Dotychczas pytań takich wyznaczono 27, z tych zaś rozwiązano 17. Znaczną także część dochodów obraca Akademia na cele naukowe po za obrębem swojéj działalności, i tak: na wyprawę podbiegunową dała w tym roku 1,000 guldenów, a snemi badaniami na protoplazmie na dnie morskiém nagromadzonéj.

Na tém wyczerpany został program dorocznego posiedzenia Akademii wiedeńskiéj. Podnoszą się ze swoich miejsc ministrowie, mecenasi i akademicy, powstaje także ruch pomiędzy publicznością, sala wypróżnia się z wolna. Teraz zaczną się znowu ciche prace w komissyach, o których rezultacie dowiemy się w przyszłym roku. Oby rezultata te były jeszcze skuteczniejsze niż dotąd! oby głębiéj sięgały do gruntu! oby dzieła przez Akademię wydane nie świadczyły jedynie o talencie i nauce jednostek, lecz raczéj oby się przyczyniały do podniesienia oświaty w całéj monarchii, która, jak powszechnie wiadomo, stoi pod tym względem na dość nizkim stopniu, a przynajmniéj na niższym niż spokrewnione z nią Niemcy, a osobliwie Prussy, pomimo iż Austrya



Ruiny klasztoru po Jezuickiego w Ostrogu. (Obacz opis Nr. 54.)

KORESPONDENCYA.

Dokończenie. (Ob. Nr. 54).

Wiedeń w czerwcu.

Cokolwiek możnaby zarzucić wiedeńskiéj Akademii Umiejętności, to pewna, że ma dla Austryi wielkie znaczenie jako główna reprezentacya jéj sił naukowych, jak niemniéj że położyła znakomite zasługi na polu umiejętności. O jéj działalności świadczą liczne dzieła, które Akademia wydała w ubiegłych 25-ciu latach. I tak: oddział filozoficzno-historyczny wydał 20 tomów traktatów in quarto, 70 tomów sprawozdań z posiedzeń, 43 tomy źródeł, 47 tomów rzeczy archiwalnych; oddział nauk matematycznych i przyrodniczych: 32 tomy traktatów, 64 tomy sprainstytutowi meteorologicznemu na założenie obserwatoryum 16,500 guldenów.

Gdy sekretarz generalny skończył czytanie sprawozdania, zabrał głos prezes Akademii radca dworu i professor uniwersytetu Dr. Rokitańsky, dla oznajmienia rezultatu naukowego konkursu w roku przeszłym rozpisanego. Za rozwiązanie pytania z zakresu krystalografii, była wyznaczona jedna nagroda, i trzy nagrody za odkrycie komet teleskopicznych. Pytanie z zakresu krystalografii rozwiązał najtrafniéj Franciszek Exner Austryak, za odkrycie komet przyznano jedną nagrodę radcy dworu Wineckemu z Karlsruhe, a dwie Wiliamowi Templemu z Medyolanu.

Koniec posiedzenia stanowił wykład professora Rolleta z Hradcu o powstawaniu istot żyjących na zasadzie teoryi Darwina potwierdzonéj właposiada podostatkiem instytucyj i towarzystw naukowych! Tak, posiada ich podostatkiem, ale cóż z tego, kiedy odgraniczone chińskim murem, nie utrzymują związku z narodem: żyją wprawdzie dla nauki, ale bez celu praktycznego; wydają dzieła, które są ozdobą licznych bibliotek prywatnych i publicznych, ale nie podnoszą kultury umysłowéj w narodzie. Obecnie powstała w Austryi jeszcze jedna instytucya tego rodzaju—Akademia Umiejętności w Krakowie. Miejmy nadzieję, że instytut ten wywrze przeważniejszy wpływ na naród, w pośród którego się znajduje, niż cesarska Akademia w Wiedniu, co też i dla tego jest potrzebniejsze, ponieważ oświata ludu, jeżeli nizko stoi w całéj Austryi w ogóle, tedy z pewnością najniżéj w Galicyi. Nieszczęśliwa to pod tym względem kraina; jakoż można to nazwać klęską, że panująca tam między koryfeu-

szami niezgoda nie dozwoliła urzeczywistnić wzniosłego zamiaru zbierania składek na pomnożenie szkół wiejskich, i że ograniczono się tylko na prośbie do sejmu o wzięcie inicyatywy. Ten obrót rzeczy równa się zupełnemu upadkowi projektu, bo sejm galicyjski nigdy się bardzo gorliwym o oświatę nie okazywał, i prawdopodobnie prośbę odrzuci, a choćby nawet uchwalił jakie zbawienne postanowienie, to wykonanie onego wymagać będzie poprzednio sankcyi rządu wiedeńskiego, na którą zapewne długo czekaćby potrzeba.

Jednym z najsilniejszych zarzutów, który czynią wiedeńskiéj Akademii Umiejętności, jest, że będąc naczelną instytucyą naukową w państwie i głównym jego opiekunem naukowym, nie starała się skupić w sobie sił naukowych innych prowincyj, innych narodowości, chociaż na członków honorowych pozapraszano wielu uczonych z za granicy. Nie jestem zwolennikiem ani politycznéj, ani naukowéj centralizacyi, i mniemam, że lepiéj, aby każda narodowość rozwijała się odrębnie; zdaje mi się jednak, że Akademia wiedeńska, powinna była uczonych polskich, czeskich, serbskich i t. p. wezwać przynajmniéj na członków korrespondujących. Zresztą o jéj odosobnieniu się wspominam tylko jako o fakcie, który jéj zarzucają sami centraliści. Akademia wiedeńska z przeznaczenia swego miała się stać jedną z dźwigni, jedném z narzędzi centralizmu. Gdyby przyczyną, iż się tém nie stała, była troskliwość o odrębność innych narodowości, lub wstręt do służenia rządowi, czyli też stronnictwu za narzędzie, możnaby Akademii takie zachowanie się poczytać za zasługę. Ale tu zupełnie inny był powód. Członkom Akademii wiedeńskiéj zdaje się, że uczeni innych narodowości nie są godni stanąć obok nich, cóż dopiero zasiąść pomiędzy nimi! Jedyne ustępstwo zrobiono tylko dla Miklosicza jako professora filologii porównawczéj języków słowiańskich w uniwersytecie wiedeńskim i dla Palackiego, ale dodać tu potrzeba, iż np. tego ostatniego tak lekceważono, że już dawno uznał za stósowne usunąć się od wszelkiego współdziałania w pracach Akademii.

To przypisywanie sobie wyższości ze strony członków Akademii wiedeńskiéj, to pomiatanie drugimi, którym Nieba nie pozwoliły urodzić się Niemcami, objawiające się nietylko na polu nauk i umiejętności, ale oraz we wszystkich stosunkach życia społecznego rozmaitych narodowości, monarchię austryacką składających, usprawiedliwiają niektórzy nader naiwnie nieznajomością stanu rzeczy po za rogatkami Wiednia. Nieznajomość rzeczy jest atoli równie występna, jak pogarda wszystkiego co niemieckie, bo jest albo rozmyślną, albo udaną.

Członkowie Akademii wiedeńskiéj przypisują sobie wyższość, ale cóż to za sztuka pracować, jeżeli ta praca przynosi sute pensye, urzędy, zaszczyty, ordery? co za dziw, że Akademia działa, jeżeli jest dobrze uposażona, jeżeli ją o nic głowa nie zaboli? Cóż w tém osobliwego że daje nagrody i zapomogi, skoro ma do tego odpowiednie fundusze? Postawmy obok niéj takie np. Towarzystwo naukowe krakowskie, przypomnijmy sobie ile zdziałało na polu medycyny, prawa, nauk przyrodniczych w ogóle, a osobliwie dla fizyografii kraju, rozważmy, że nie miało żadnéj pomocy, że owszem z tysiącznemi trudnościami walczyć musiało, i powiedzmy: po któréj stronie wyższość? Naszém zdaniem jest, że z każdą cegłą domu Towarzystwa naukow., obecnie nowéj Akademii odstąpionego, więcéj wiąże się rzetelnéj zasługi, niż jéj wykażą całe stosy wydawnictw wiedeńskich. Moglibyśmy i więcéj przytoczyć przykładów na dowód, że Akademia wiedeńska wystawia się tylko na śmieszność, jeżeli uczonych innéj narodowości nie przypuszcza do swego grona z obawy, aby tym sposobem nie ubliżyła swojéj mniemanéj wyższości.

Jest już i pomiędzy Niemcami wielu, którzy widzą tę niedorzeczność i jak się zdaje szczerze pragną naprawienia złego, przynajmniéj przygotowania naprawy, przez zaznajamianie się z usiłowaniami naukowemi innych narodowości i podawaniem ich swoim współziomkom do wiadomości. Tak np. pismo „Wochenschrift" dodatek naukowo-literacki obok Gazety Wiedeńskiéj wychodzący, wykazuje w szeregu swoich współpracowników także kilku uczonych z Galicyi, Czechów, Serbów i t. d., a między wiadomościami bibliograficznemi na okładzinach wylicza skrzętnie tytuły książek polskich w Galicyi wydanych.

Dalszy ciąg tych usiłowań widzimy w wydanym świeżo Roczniku Towarzystwa urzędników austro-węgierskich, piśmie beletrystyczném, zbiorowém, noszącém tytuł „Dioscuren," który oznacza, że Austrya i Węgry są braćmi jak Kastor i Pollux. Książka ta zawiera poezye, nowelle, obrazki, szkice, fragmenta, biografie, wspomnienia z podróży i t. d., i jako album, przeznaczone do ozdoby herbacianego stolika, może spodziewać się wielkiego rozpowszechnienia, zwłaszcza, iż dochód z rozprzedaży przeznaczony jest na założenie szkoły wyższéj dla dziewcząt, jakiéj monarchia austro-węgierska, szczycąca się pięcioma uniwersytetami i pięcioma Akademiami Umiejętności, dotychczas nie posiada. Otóż wydawcy téj książki raczyli także spojrzeć z niemieckiéj swojéj wysokości na inne poziome budki, które atoli, jak twierdzi statystyka (ta najniegodziwsza ze wszystkich nauk, bo wszystkie sekreta wydaje), szczodrzéj od panów swoich podatek krwi płacą, i zamieścili kilka przekładów z Petöfiego, powieść współczesnego pisarza węgierskiego Jokaja: „Serce i Korona," „Spuściznę literacką" Eötvösza, „Typy z Lasu czeskiego" Hansgirga, „Pieśni Słowiańskie" Teislera, „Z literatury polskiéj" Dra Blumenstocka (Polaka) i t. d.

W kościele Św. Ruprechta ks. Maniecki proboszcz odprawił d. 19 czerwca żałobne nabożeństwo, za duszę nieodżałowanéj pamięci Adama Potockiego. *Stanisław Nowiński.*

Wrażenia z Wystawy
SZTUK PIĘKNYCH.

Dokonczenie. (*Ob. Nr. 54*).

W salonie wystawy rzecz się zmienia. Tu skalpel krytyczny nie cofa się przed niczém. Tu taki, co go trzyma w ręku, robi *dyagnozę* kompozycyi jako „dzieła sztuki," i powiada otwarcie p. G. Figury pańskiego obrazu są wyciosane z drewna, i nie ludziom żywym, ale manekinom podobne...

Weszło u nas w modę (nie pytajcie, dla czego? czyż bowiem moda ma jakie zasady!) lekceważyć klassyczność. *Credo* wyznawców téj mody brzmi tak: „My, żyjący w XIX stuleciu po Chrystusie, jesteśmy o *dwadzieścia kilka* wieków starsi (sic) od mężów Grecyi i Rzymu;—jakże nam od nich uczyć się czego?!" Nie krytykując téj bądź co bądź dowcipnéj sentencyi, musimy przyznać p. Piątkowskiemu niepospolitą odwagę. Jego bowiem *Rozmowa poufna*, jakkolwiek treścią należąca do wszystkich czasów, obleczona jest w formy klassyczne. Wojownik rzymski rozmawia tam ze swoją kochanką. Piękni oboje pięknością nie dzisiejszą. On—lew, ona—siostra Kornelii, Grachów rodzicielki. W obojgu: *mens sana in corpore sano.* To jeszcze dzieci zdrowéj Romy, nie téj którą chłoszcze Juwenal, a Owidyusz lubieżną pieśnią roznamiętnia...

Powiemy jeszcze o tym obrazku, że w barwach za wiele ma kokieteryi.

Jest on kolorowy *in extremo.* Oczy widza męczą się, patrząc na niebo modre jak turkus płynny, na szatę wojownika, któréj czerwoności dorówna chyba krew, lub—płaszcz katowski.

Do was się zwracam, wy wszyscy, których powołano pod sztandary sztuki. Pomnijcie, że niebo jest muzy siedliskiem. Zostawcie jéj przeto gwiazdy u czoła i szat poważną draperyę. Natchnienie wasze niech będzie aniołem z białemi skrzydłami. Anioła tego nie zmieniajcie nigdy—w zalotnicę...

* * *

Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olimp wieńczy skroń?
Kastalskich wód kryształy biją czyste,
Słowików śpiew i róż zachwyca woń;
Znacie ten kraj?

To Hellas czarowna! kolebka wszystkiego co wielkie i piękne! A wielkość i piękno tak ściśle Bóg z nią złączył, że niepodobna dziś wspomnieć o niéj, bez potrącenia tych dwóch strun szczerozłotych. Niepodobna przejść po niéj kroku bez wywołania długiego łańcucha wspomnień...

Pan Lachnicki przypomniał ją w swym obrazie. Odmalował mianowicie część Aten, *Akropolem* zwaną. W gruzach ona, ale te gruzy ileż mieszczą w sobie nieśmiertelnie żywéj poezyi! Ten, kto staje przed płótnem z myślą pełną pamiątek, ożywia niemi obraz. Ale dla widza nieświadomego cudów przeszłości obraz jest hieroglifem. Sam on nic nie mówi. Dla czego? Bo mu brak greckiéj wielkości i piękna greckiego.

Tuż przy *Atenach* spotykamy dwa krajobrazy hr. Kossakowskiego. Na jednym: fale morskie szturmujące brzeg i jakąś wieżycę starą. Na drugim: pełne ciszy sennéj i szmaragdowych blasków wnętrze lasu. Obadwa dobrze świadczą o zdolnościach p. K. traktującego sztukę zapewne tylko *con amore...*

Jednym z najpiękniejszych krajobrazów jest p. Szermentowskiego: *Kościołek wiejski.* Z kościołka tego, jak rój pszczelny z ula, wysypuje się gromadka wieśniaków. Sam kościołek schowany w gęstwinę lip, jesionów i topoli. Poezya i prawda łączą się w tym obrazie dla utworzenia zachwycającéj całości.

Pan Brzozowski przedstawił *Widok z Tatrów* które są niewyczerpanym materyałem dla malarza krajobrazów. Widoki górskie tworzą oddzielny *cyklus*, piękny wprawdzie, ale jednostajnością swą nużący. Spotyka się tam zawsze te same cyfry estetyczne: potok rozdzierający się na głazach, głazy pod drzewami, drzewa na głazach, głazy i drzewa obok siebie... Trzeba posiadać dużo oryginalności i dużo jéj włożyć w sposób traktowania takiego krajobrazu, żeby mu zapewnić wybitne miejsce wśród wielkiego mnóztwa braci jego w płótnie.

Pana Ruśkiewicza *Krajobraz zimowy*, jakkolwiek srebrny od śniegu i upstrzony czarnemi drzew szkieletami, nie posiada dwóch przymiotów właściwych zimie: jéj grozy i jéj wdzięku.

Pan R. wystawił jeszcze: *Kościelną wieś w Sandomierskiém.* Znajdziecie tam wszystko, co (poetycznie rzeczy biorąc) składa się na utworzenie wsi, owéj wsi, o któréj autor „Dwóch światów" powiada, że sam Bóg jest jéj budowniczym. Znajdziecie tam: kościół w girlandzie lip szumią-

cych, młyn turkoczący na strudze, bocianie gniazdo na gałęzi uschłéj, klomby drzew, całe łąki kwiecia i zieloności...

O takich krajobrazach powiedział jeden ze znakomitych, choć nie głośnych estetyków, że winny być po prostu „oknami otwartemi na wieś."

Pan Rurawski w *Krajobrazie z okolic Warszawy* odmalował płaszczyznę mazowiecką, na któréj zieleni się kilka wierzb samotnych i woda połyskuje stalowo, jak lusterko elegantki pompejańskiéj. Chwila przed burzą. Niebo od chmur się mroczy, drzewa ciemnieją wstrząsane chwilami dreszczem, na ziemi i wodzie kładą się sine reflekta... Obrazek to mały, nie ma w nim ani jednego dotknięcia pendzla *na effekt*, ale po bliższém wpatrzeniu odkrywa się w nim dużo drobnych piękności.

P. Gościmski nadesłał kilka widoków robionych akwarellą. Najpiękniejsze między niemi *Krajobrazy szwajcarskie*. Są one jakby illustracyą do nieśmiertelnego poematu Juliusza:

W górach Szwajcaryi jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada...

Aż do wnętrza puszczy Białowiezkiéj dotarł p. Strzałecki po zajmujący przedmiot do krajobrazu. Wyszło mu to na dobre jego bowiem widok z puszczy, z parą łosiów między dębami, posiada wysoką zaletę: oryginalność.

* * *

A teraz, czytelniku mój, gdy cię nie ominął jeszcze głód wrażeń estetycznych, pozwól, że ci pokażę ten rodzaj malarstwa, w którym poezya już bezpośrednio życia powszedniego dotyka. Mówię o *portretach*.

One powiedzą ci co się staje z ludźmi współczesnymi tobie, z ludźmi, których spotykasz w domu, na ulicy, w salonie, gdy na licach ich sztuka położy swój stygmat tajemniczy.

Rodzaj malarstwa portretowego, tak łatwy gdy traktowany rzemieślniczo, tak trudny gdy ma być owém kojarzeniem szczytności z prostotą, licznych ma u nas przedstawicieli.

Jednym z wybitniejszych jest p. Miller. Jego portrety posiadają już wziętość. Odznacza je przedewszystkiém idealność formy.

Obecnie wystawił on trzy olejne i jeden wykonany akwarellą. W tym ostatnim jednak idealność zbyt daleko posunięta. Wygląda on nie jak portret żywéj osoby, ale jak wizya senna. Barwy jego niepewne zlewają się z tłem, karnacya twarzy niespotykana nigdy u ludzi z krwi i ciała... Za to, trzy pozostałe ładne są pod każdym względem. Szczególniéj portret zgasłego literata Wieniarskiego, posiada wszystkie zalety dobrego portretu: podobieństwo, właściwy charakter oblicza i szlachetną prostotę w wykonaniu.

Pana Gersona: *Portret damy* czarnowłoséj i czarnookiéj wybiega po za sfery właściwego rodzaju, gdyż jest już skończoném dziełem sztuki. Zamiast charakterystyki osoby, daje on charaktenystykę *typu*. Niesumienność godna pochwały rajwyższéj.

Ładne i ekscentryczne nieco są portrety p. Benedyktowicza. W formie odznaczają się one pewném umyślném zaniedbaniem, które przyczynia się poniekąd do wywołania effektu. Rysunek podpada niekiedy zarzutom, naprzykład w profilu *Młodéj osoby*.

Jeden z portretów p. B. rzuca się patrzącemu w oczy fantastycznością swoją. Przedstawia on młodego człowieka o demoniczném wyrazie twarzy, w czarnéj draperyi płaszcza, z olbrzymią kryzą w koło szyi. Gdyby nie podpis, sądzilibymy że to podobizna Mefista podług rysopisu, jaki Göthe zostawił w Fauście, lub też studyum przedstawiające jednego z adeptów alchemii. Czuć w tym portrecie ogniste tchnienie romantyzmu, ale romantyzmu z przed dziesiątków lat... Przypomina on także płótna mistrza namiętności Eugeniusza Delacroix.

Chłopczyk śpiący p. Szyndlera jest dla nas—zagadką. Pływa on cały w oceanie krwi... Tak bowiem *okropnie* wyglądają reflekta szkarłatne, jakiemi oblał go p. Sz. Przez jaką assocyacyę pojęć można było złote sny dziecka, sny na kwiatach i o kwiatach, połączyć z kolorytem przypominającym gilotynę? Niepojęte!

Pastele p. Dukszyńskiéj są jakby organiczną częścią Wystawy. Rzecz prosta zatém, żeśmy je spotkali i to w liczbie dość imponującéj. Najśliczniejszy z nich jest portret *Dziewczynki* w girlandzie polnych kwiatów. Dziewczynka ta lat może pięciu, „ucieszna" jakby powiedział poeta z Czarnolasu, uosabia ów złoty wiek, który jest jutrzenką życia. Buzia jéj biała i różowa jak kwiat na jabłoni, oczy modrzejsze od tego chabru, który trzyma w rączce, z ust rozchylonych uśmiechem wygląda ząbków emalia... Pani D. rysowała ten portret z miłością, i nie mogło stać się inaczéj w obec tak czarownego modelu. Z ust widza wyrywa się mimowoli: „prześliczne dziecko!" a z ust krytyka: „prześliczny obraz!" I choć nie wypada recenzent wi tak formułować swego zdania, robi on to, gdyż rozbrojony jest ze swéj powagi niezwykłą pięknością obrazu.

Oprócz Dziewczynki widzieliśmy kilka jeszcze portretów pani D., żaden przecię nie dorównywa jéj wdziękiem i artyzmem. Może tylko zrobilibyśmy wyjątek dla *Damy* w niebieskiéj sukni i białéj zarzutce. W tym bowiem portrecie w dziwnéj zostaje harmonii idealność twarzy z idealnością form, jakie posiada zawsze robota pastelowa.

Są też między portretami *curiosa*. Do takich zaliczyć należy prace panów: Kostrzewskiego i Valent'a w przystępie dobrego humoru pomyślane i wykonane. Jedna z nich jest portretem *psa*, a druga—*kaczki*.

* * *

Nareszcie, czytelniku mój i towarzyszu, kiedyśmy zwiedzili wspólnie tęczową barw krainę, pozwól, żeby ta nasza wycieczka artystyczna już do końca wspólnie się odbyła.

Rzucamy zatém kolorowy ogród tych „kwiatów sztuki," które się nazywają obrazami i schodzimy niżéj pomiędzy „kamienie mówiące," któremi zaludnione jest królestwo *rzeźby*.

Poznamy teraz ideał w jego najcieleśniejszéj powłoce. Poznamy tę cudowną amalgamę myśli ludzkiéj i głazu, dwóch czynników, które Fidyasz i Praksyteles pierwsi tak misternie łączyć umieli.

Na naszéj wystawie rzeźba szczupłe zajmuje miejsce. Kilkanaście medalionów, kilka biustów portretowych i pięć lub sześć większych kompozycyj—oto skarbiec jéj cały.

Z pomiędzy medalionistów zdołali już pięknie się wyróżnić panowie Rieger i Syrewicz. Prace pierwszego więcéj mają w sobie treści poetycznéj i effektu, drugi za to celuje w pracowitém i *po flamandzku* dokładném wykończaniu szczegółów. Obaj zyskali sobie imię artystyczne nawet i za granicami kraju.

Przedmiotem powszechnego zajęcia jest obecnie p. Syrewicza *Fryderyk Szopen*. Piękna ta rzeźba ma zdobić salon warszawskiego Towarzystwa muzycznego. Oglądaliśmy ją, mając w pamięci chór pochwał bezwzględnych, jakiemi krytyka powitała tę ostatnią pracę młodego rzeźbiarza. Wszelako mimo optymistycznego nastroju znaleźliśmy w niéj pewne... niedostatki. Nie wypada, żeby głos nasz był *dyssonansem* w powszechnéj melodyi uwielbienia. Pamiętamy również, że rola *turbatora chori* jest co najmniéj nie-estetyczna. Sumienie jednak krytyczne każe nam wyznać, że Szopen rzeźbiony przez p. Syrewicza nie zupełnie odpowiada ideałowi, jaki sobie o tym mistrzu nieśmiertelnym każdy z nas wyrobił. Brak miejsca nie dozwala nam czynić szerokich nad tém wywodów; wspomnimy tylko, że kiedy charakterystyczną cechą Szopena-artysty (a chodzi tu o takiego właśnie) jest *rozmarzenie* i melancholijna zaduma, kamienny jego wizerunek ma w twarzy tylko: refleksyę — właściwą może dla jakiego Glucka lub Meyerbeera...

Pan Kucharzewski, który po długich studyach w Rzymie powrócił niezbyt dawno do Warszawy, wystawił kilka kompozycyj poważniejszego zakroju.

Madonna depcząca węża prześliczna doprawdy! Znajdziecie w niéj bozkość i kobiecość cudownie zjednoczone. Projekt pomnika dla *księdza Falkowskiego* natchniony zacną i w nader estetyczne formy obleczoną myślą, domaga się jak najrychlejszego wykończenia. Co też podobno nie zadługo ma nastąpić.

Zwraca jeszcze uwagę *Madonna* p. Gundelacha, płaskorzeźba pełna kamiennego spokoju i świętości...

Obejrzeliśmy już wszystko godne obejrzenia.

Zatém, żegnaj *lettore carissimo*! *(gom.)*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

O OBIEGU MATERYI PRZEZ TRZY PAŃSTWA PRZYRODY.

Odczyt professora J. N. Czermaka

miany w Lipsku w amfiteatrze jego prywatnéj pracowni fizyologicznéj.

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 54).

To, cośmy powiedzieli, daje nam nietylko pogląd na ostateczne utwory rozkładu istot organicznych, ale zarazem podaje wykaz najważniejszych pierwiastków, z których ostatecznie się składają wszystkie ustroje roślinne i zwierzęce. Naliczyć ich można czternaście: węgiel (C), wodór (H), tlen (O), azot (N), siarka (S), fosfór (Ph), chlor (Cl), fluor (Fl), krzem (Si), potas (Ka), sód (Na), wapń (Ca); magnez (Mg), i żelazo (Fe).

Przedewszystkiem więc węgiel, wodór, tlen i azot, a daléj siarka, fosfór i przytém żelazo, (*) oto są pierwiastki, które łącząc się w najrozmaitszy sposób i w rozlicznych stosunkach, wydają ową niezmierną moc tak zwanych związków organicznych. One to mięszając się, lub łącząc chemicznie z materyami nieorganicznemi, głównie z wodą i niektóremi solami mineralnemi, przybierają postać organiczną ciał roślinnych i zwierzęcych i okazują objawy życia.

Zobaczmy teraz, w jakiéj postaci znajduje się w świecie nieorganicznym, mineralnym, czternaście owych pierwiastków, które służą do budowy wszystkich organizmów.

1) Wolny tlen i wolny azot pomięszane w stosunku 21 na 79 części na objętość, stanowią powietrze atmosferyczne, które ziemię ze wszech stron otacza.

(*) Żelazo stanowi niezbędną część składową owego związku organicznego, rozpadającego się na ciało białkawe i na barwnik żelazisty, któremu krew zawdzięcza swą barwę szkarłatną.

2) Węgiel z tlenem wydaje kwas węglany, ten w stanie lotnym w pownéj ilości znajduje się w powietrzu, część jego rozpuszczona jest w wodzie, część nakoniec tworzy sole (węglany), które są albo rozpuszczone w wodzie, albo stanowią część stałéj powłoki ziemskiéj.

3) Z połączenia się wodoru z tlenem powstaje woda, która jest wszędzie rozpowszechnioną w stanie ciekłym, lotnym lub stałym.

4) Inny związek wodoru, mianowicie z azotem stanowi amoniak, który się znajduje w ziemi ornéj, albo też w bardzo zmiennych ilościach unosi się w powietrzu.

5) Nakoniec siarka i fosfor znajdują się w solach (siarczanach i fosforanach), a te tak jak i inne minerały, zawierające dalsze z owych czternastu pierwiastków, w stanie stałym lub rozpuszczonym, znajdują się w ziemi lub w wodach.

Zestawmy tych pięć punktów z powyżéj wykazanymi ostatecznymi utworami spalenia i gnicia istot roślinnych i zwierzęcych, a przedstawi nam się niewątpliwie ów wielki fakt, że świat nieorganiczny naszéj planety zawiera w postaci wody, kwasu węglanego, amoniaku i niektórych soli, wszystkie owe pierwiastki, z których składu powstają istoty roślinne i zwierzęce, podczas gdy wolny tlen powietrza atmosferycznego zdolny jest, w procesie palenia lub gnicia, ciała roślin i zwierząt przeprowadzić znów w też same proste formy mineralne wody, kwasu węglanego, amoniaku i soli—i takowe wrócić światu nieorganicznemu.

Za pośrednictwem korzenia i liści roślina przybiera bezustannie zapas materyału z gruntu, wody i powietrza. Wielkie te zbiorniki materyj nieorganicznych dostarczają roślinie do jéj utworzenia, zachowania i rozwoju wszystkich potrzebnych pierwiastków w postaci kwasu węglanego, wody, amoniaku i soli mineralnych.

W zielonych częściach rośliny, przy udziale promieni słonecznych, przyjęty przez nią kwas węglany zostaje zredukowanym, to jest tlen zostaje od węgla oderwanym i w stanie wolnym, lotnym, uchodzi w powietrze, podczas gdy węgiel wchodzi w nowe organiczne związki z pierwiastkami wody i amoniaku i w roślinie pozostaje.

Tą to pracą wewnętrzną roślina wyrabia każdą cząstkę swych tkanek i soków, które jéj są właściwemi; z tego to materyału natury czysto nieorganicznéj, przy wywiązywaniu tlenu czyli przy odtlenianiu, roślina składa tak zwane związki organiczne, które się od nieorganicznych różnią palnością i bardziéj zawiłą budową.

Tak pierwiastki kwasu węglanego i wody przy współczesném odtlenianiu, czyli zmniejszaniu swéj zawartości tlenu, łączą się na materye organiczne, które się składają tylko z węgla, wodoru i tlenu: wodany węgla (błonnik, mączka, guma, cukier i t. d.), tłuszcze i oleje.

Przez dostęp amoniaku, do trzech opowiedzianych pierwistków przybywa jeszcze azot, jako czwarty pierwiastek, i powstają związki organiczne poczwórne, azotowe. Nakoniec siarka i fosfór, zawarte w przyjętych przez roślinę siarczanach i fosforanach, zostają też z tlenu oswobodzone i wciągnięte w nowe grupowania i w ten sposób tworzą się najbardziéj zawiłe związki organiczne, mianowicie ciała białkowe.

Właściwe te,—i w szczegółach bardzo niedostatecznie znane, działania zowią się syntezą organiczną albo stopniowym przeobrażeniem materyi.

Od niepozornego zatém porostu, który wilgotną powleka skałę, do wspaniałych roślin zdobiących nasze cieplarnie i do olbrzymich drzew pierwotnych lasów, należy roślinę uważać za naturalną pracownię chemiczną, która promieniami słonecznemi ogrzewana i utrzymywana w działalności, wywiązuje tlen i tworzy materye organiczne ubogie w tlen, ale składu bardzo zawiłego i w ten sposób posługuje syntezie organicznéj, czyli przeobrażaniu materyi.

Przez to jednak nie chcemy powiedzieć, aby w roślinie nie mogły zachodzić inne, a nawet wprost przeciwne działania; ale opowiedziane wyżéj działania są najważniejsze i najbardziéj cechujące dla znaczenia życia roślinnego w gospodarstwie przyrody. Rola bowiem i znaczenie świata roślinnego w potężném gospodarstwie przyrody muszą być tak określone, że on to z prostego materyału, przy wywiązywaniu tlenu, tworzy materye organiczne. Zwierzę ma zgoła inny stosunek do świata zewnętrznego niż roślina.

Zwierzę do budowy swéj i do utrzymania wymaga już gotowego materyału organicznego, ponieważ nie posiada ono wcale zdolności tworzenia jakiéjkolwiek substancyi natury organicznéj z prostych, nieorganicznych związków.

Zdolność tę wpośród wszystkich istot świata organicznego posiadają wyłącznie części zielone roślin, opromienione światłem słoneczném.

Świat przeto zwierzęcy niezbędny dlań zapas materyałów i pokarmów organicznych znaleść może jedynie w materyałach organicznych, jakie roślina wyrabia i przechowuje; a jeżeli w tkankach i sokach zwierząt zawarte są pewne materye, których w roślinach nie znajdujemy, to takowe nie zostały wytworzone przez zwierzę z pierwiastków nieorganicznych, ale są one tylko przerobem substancyj roślinnych, jakie zwierzę w pokarmie swoim przyjęło; jeżeli zaś zwierzę jest czysto mięsożernem i nigdy nie używa pokarmu roslinnego, jak np. lwy i tygrysy, to przyjmuje takowe pośrednio, gdy pożera inne zwierzęta, które albo same są roślinożernemi, albo się roślinożernemi żywią.

Jednem słowem zatém: zwierzę otrzymuje niezbędny dla niego zapas materyj organicznych w postaci wodanów węgla, tłuszczów i ciał białkowatych—pośrednio lub bezpośrednio, ostatecznie zawsze ze świata roślinnego.

Materye nieorganiczne, jakich zwierzę potrzebuje jeszcze do utrzymania swego życia — wodę i sole mineralne, znajduje częścią także w roślinach, częścią przyjmuje je bezpośrednio ze świata nieorganicznego. Pomiędzy temi ostatniemi substancyami jest przedewszystkiem wolny tlen, który zwierze, jako pierwiastek dla życia najważniejszy i najniezbędniejszy, przyjmuje swemi przyrządami odechowemi wprost z atmosfery, albo też, jak wszystkie zwierzęta żyjące w wodzie—z powietrza przez wodę pochłoniętego.

Wolny tlen przenika przez powierzchnie oddechowe w krew lub soki zwierzęcia i zostaje po całém ciele rozprowadzonym; tam wchodzi w ściśle zetknięcie ze wszystkiemi częściami żywych tkanek zwierzęcych, jako też z pokarmami zmienionemi przez trawienie, i również przyjętemi przez krew i soki, a w skutek ich krążenia, rozprowadzonemi po całém ciele.

Koniecznem tego następstwem jest, że w zwierzęciu wszystkie substancye organiczne a których pochodzenie w każdym razie jest roślinném, ulegają powolnemu spaleniu, stopniowemu utlenianiu, rozkładają się na związki coraz prostsze, coraz wyżéj utlenione, i nakoniec wydają znane nam już ostateczne utwory rozkładu ciał organicznych, które bezustannie oddawane bywają światu zewnętrznemu.

Jak szybkie sztuczne spalenie i opieszale przebiegające gnicie, tak i sam proces życiowy wydaje zupełnie też same utwory rozkładu czyli zniszczenia—mianowicie: wodę, kwas węglany, amoniak i sole mineralne, a które są natury nieorganicznéj.

W istocie, zwierze w ciągu życia swego wydziela bezustannie obok soli mineralnych, wodę, kwas węglany i związki azotowe, które się bardzo szybko rozpadają na amoniak i kwas węglowy; poznajemy więc, że zwierzę jest przyrządem chemicznym, który pochłania tlen i gdzie w skutek utleniania i stopniowego rozkładu substancya organiczna rozpada się ostatecznie na też same związki nieorganiczne, z których je pierwiastkowo roślina wytworzyła. *(d. n.)*

ROZMAITOŚCI.

— W Stanach Zjednoczonych, mianowicie w Waschingtonie, urządzono biuro przepowiadania pogody mniéj więcéj na 24 godziny z góry. W rozmaitych częściach kraju założono 56 obserwatoryów meteorologicznych, które prócz zadań naukowych obowiązane są dwa razy na dzień jednocześnie ze wszystkich punktów donosić telegrafem, w formułach liczbowych, o stanie nieba i kierunku wiatru. Na centralnéj stacyi w Washingtonie wszystkie te doniesienia oznaczają się na mappie, i z tego wyciąga się przepowiednia, która się niezwłocznie ogłasza. Z ogłoszonych przepowiedni 69% sprawdziło się co do joty, 21% sprawdziło się w części, 10% było mylnych. Nie zaszkodzi dodać, że mappy meteorologiczne, o których powyżéj mowa, znane są w Europie; między innemi petersburgska gazeta urzędowa załączała je dawniéj prenumeratorom; mappy te jednak ogłaszane w tydzień lub więcéj po obserwacyi, mogły być przydatne jedynie do wywodów naukowych. Dopiero Amerykanie wyssali użytek praktyczny z wynalazku europejskiego.

— Brukselska akademia nauk, założona przez cesarzową Maryę Teressę w r. 1772, obchodziła w końcu maja r. b. setną rocznicę swojego założenia. Na uroczystość byli zaproszeni członkowie wszystkich akademij europejskich; wielu też przychyliło się do wezwania. Król Leopold belgijski znajdował się na obu posiedzeniach publicznych odbywanych z powodu uroczystości 28 i 29 maja.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Іюня (8 Іюля) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.